Shit story — Miladora

Od autora: z cyklu Opowieści wierutne.

Za silne wrażenia nie można
nigdy płacić zbyt drogo.
Oskar Wilde

Shit story

Pewnego dnia zwyczajnie zwariował mi komputer.
Tu muszę zaraz na wstępie nadmienić, że bynajmniej nie jestem bóg wie jakim ekspertem w tej dziedzinie i że komputer służy mi wyłącznie do pracy, do jakiej zostałem przeszkolony – do projektowania. A projektuję wszystko, co się da. Od domów począwszy, poprzez ciuchy, zabawki, prezerwatywy (nie żartuję), torty weselne i kształt biustów, a kiedyś musiałem nawet wymyślić śpiewający nocnik dla jakiegoś rozwydrzonego bachora milionerów. W dodatku zażyczono sobie, żeby nocnik ten wyśpiewywał melodie z podtekstem patriotycznym i miałem nie lada problem, zanim nie wpadłem na pomysł, by po prostu dać: *Płynie, płynie Oka.*

Nie przejmowałem się specjalnie profanacją, jaką zarzucić by mi mogli bogobojnie filisterscy członkowie naszego wysoko uprzemysłowionego społeczeństwa, bo nocnik zakamuflowany w ekskluzywnym pokoju dziecinnym miał przecież służyć, li i jedynie, potrzebom niegadającego jeszcze, a więc dyskretnego dzieciaka. O rodziców też mogłem być spokojny. Fragment: *Co ci przypomina widok znajomy ten…* gdy w nocniku pojawiała się kupa, rozbawił ich do łez. Zresztą nie byli oni czysto rodzimym stadłem, tak więc problem profanacji także i z tego względu upadał.

A potem, pewnego dnia, komputer zwyczajnie mi zwariował.
Projektowałem właśnie superowy domek dla parszywie bogatych szczeniaków, których rodzice nie chcieli mieć przy sobie przynajmniej na czas letniej kanikuły, gdy komputer zaczął wyczyniać jakieś dziwne rzeczy. W pokoju dyskotekowym, zamiast wysokich stołków przy barze, ni stąd ni zowąd pojawiła się harcerska latryna, z tych bardziej używanych, a więc bardziej, nazwijmy to, zużytych, a w dodatku z początków działalności tego skądinąd zasłużonego ugrupowania; zamiast szaf w pokojach stanęły drewniane sławojki ze znamiennym, wielekroć opiewanym serduszkiem wyciętym na odrzwiach, a kibla… po prostu nie było. To znaczy był, jeżeli można tak nazwać dziurę w podłodze za obskurnym przepierzeniem, z dwoma imitującymi ślady stóp miejscami na nogi – jednym słowem, coś żywcem wzięte z Dworca Centralnego w dawnych latach.

Gapiłem się jak zahipnotyzowany w ekran, na którym co rusz wyskakiwały jakieś cudeńka, a komputer beztrosko rysował przekroje owych sraczy.

Och, shit! – jęknąłem w duchu.
Komputer skończył z przekrojami i zabrał się za obliczanie parametrów wszystkich możliwych gówien, jakie hipotetycznie mogły się tam znaleźć, uwzględniając, rzecz jasna, pojemność wyżej wspomnianych przybytków. A potem zaczął drukować.
Wtedy już nie wytrzymałem i złapawszy za telefon, wydzwoniłem znajomego eksperta.

– Proszę, pospiesz się! – wyksztusiłem błagalnie. – Zanim szlag mi trafi cały projekt. To ani chybi jakiś zasrany wirus. Dobrze, wyłączę na razie, ale przyjedź natychmiast!

A potem odłożyłem słuchawkę i znowu wlepiłem oczy w ekran, na którym pojawiła się niespodziewanie bardzo wymyślna konstrukcja potężnej gówno-ssawki o zasięgu kontynentalnym.

Nacisnąłem guzik. Ekran zgasł, a ja odetchnąłem z ulgą. I nagle, na ten zgaszony przecież monitor, wyskoczył skądś Wielkanocny Zajączek, mrugnął do mnie, pokazał prawą łapkę z wystawionym niedwuznacznie palcem, po czym klepnął się w dupkę i zniknął.

Zamarłem w bezruchu. Tymczasem ekran pojaśniał ponownie i spłynęła na niego, jak z rozwiniętej mapy, powiększona dupa owego Zająca w przekroju poprzecznym. Złapałem się za głowę, złapałem za serce, zamknąłem na chwilę oczy, policzyłem do dziesięciu i… nic. Dupa nie znikała. Mało tego. Teraz był to przekrój podłużny w rozwoju ontogenetycznym, a potem komputer przeszedł do filogenezy.

Zanim ochłonąłem, jakaś ręka posadziła Zająca na nocniczku (a niechże, przecież to był mój nocnik, tyle że ozdobiony teraz girlandami papieru w drobne różowe serduszka), Zajączek natychmiast zrobił kupkę i nocnik odśpiewał niczym pozytywka: *Jeszcze jeden mazur dzisiaj.*

Co było dalej, nie wiem, bo szarpnąłem rozpaczliwie za przewód, wyrywając go razem z gniazdkiem, a potem zadźwięczał dzwonek i pognałem do drzwi. Znajomy ekspert spojrzał z dezaprobatą na tak bezceremonialnie wyłączony komputer i pokiwał głową.

– Ty kretynie – powiedział. – Inaczej już nie mogłeś?

– Nie chciał się wyłączyć! – wyjaśniłem z oburzeniem. – To co miałem robić?!

Ekspert popatrzył na mnie jak na wariata, widać było, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zmilczał, pochylił się nad przewodem i wyciągając wtyczkę ze zdezelowanego kontaktu, rozejrzał się za innym gniazdkiem.

– No to zobaczmy – mruknął, włączając komputer.

Ekran pojaśniał zielonkawą poświatą, zieloność ta, jakby najeżdżając kamerą od góry, przeszła w morze trawy, gdzieniegdzie pojawiły się białe główki margerytek, a potem na morzu tym zaczął wyrastać domek jak z bajki. Moja własna, projektowana dla tych szczeniaków chata. Tyle, że teraz było to coś zupełnie super ekstra.

Milczałem, nie wierząc własnym oczom. Obraz obracał się powoli i widać było wyraźnie każdy, najmniejszy nawet szczegół. A szczegóły te mogły przyprawić o szybsze bicie serca nie tylko jakiegoś ekscentrycznie wyrafinowanego milionera. Co ja mówię! Sam Gaudi umarłby z zazdrości!

– Stary, odbiło ci? – zapytał ekspert. – W życiu nie widziałem czegoś podobnego! I ty twierdzisz, że to wirus?!

– Powoli, powoli… – wtrąciłem ponuro. – A najlepiej sam się za to zabierz, to zobaczysz.

Znajomy zasiadł przed komputerem, przebiegł palcami po klawiaturze i na ekranie ukazało się wnętrze domku. Pokój po pokoju, wszystkie pomieszczenia i to kompletnie urządzone. Nawet obrazy na ścianach były tak stylowe, że aż zatkało mnie z zachwytu. Gapiłem się na nie całkiem skołowany i chociaż mam niezłe pojęcie o malarstwie, musiałem przyznać, że czegoś podobnego jeszcze nie widziałem.

– Sprawdź łazienki – poleciłem cicho.

– W pogoni za duchem? – zażartował ekspert, ale posłusznie nacisnął klawisze.

Tego, co zobaczyliśmy, nie da się opisać. To nie były łazienki. To był poemat kryształu, Alhambra klejnotów, marzenie bogów, istny sen Szeherezady…

– Stary, jeżeli to jest wirus – westchnął znajomy – to chciałbym mieć takiego w swoim komputerze. Jeszcze dzisiaj byłbym milionerem.

Zabrał rzeczy i wyszedł. Nawet udało mu się nie trzasnąć drzwiami.

Siedziałem i patrzyłem tępo w ekran, nie pamiętając o włączeniu drukarki. Do dziś tego żałuję.

Obraz odwrócił się i zastygł, przekształcając ponownie we front domku. A potem uchyliło się okno na

mansardzie, czy co to tam było takiego, i wyjrzał przez nie Wielkanocny Zajączek. Gwizdnął, szybkim ruchem rozejrzał się wokoło i na jego pyszczku zagościł przelotny, szelmowski uśmieszek, gdy niespodziewanym ruchem wychlusnął zawartość nocnika, w dodatku do melodii znanej piosenki: *Ty i ja, herbatka we dwoje.*

Po chwili, rozrywając ciężkimi kołami trawnik przed domem, zajechała majestatycznie owa potężna gówno-ssawka o zasięgu kontynentalnym, z emblematem Manneken Pisa na masce. Wyskoczyła z niej Minnie Mouse, zgrabnie podtrzymując koronkową haleczkę. Mignęły różowe podwiązki i Minnie, jakby czując mój wzrok, odwróciła głowę.

– Nie gap się! – pisnęła nieżyczliwie. – Chcę się wysiusiać.

No i kucnęła za najbliższym krzaczkiem, a Zając z okienka pogroził mi pięścią.

Z ekranu zaczęły spływać pojedyncze krople wprost do mojej kawy. A potem Minnie podciągnęła majtki i oboje z Zajączkiem wsiedli do maszyny. Uruchomili motor, włączyli jakąś dźwignię i… myliłem się. To była gówno-pompa, a nie gówno-ssawka.

Zalali mi wszystko!

I dlatego jestem tu, gdzie teraz jestem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 16.11.2017 14:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.